LIRA
WYDAWNICTWO

WERONIKA WIERZCHOWSKA

ZAKOCHANE *bez pamięci*

7 PRAWDZIWYCH HISTORII NASZYCH PRABABEK

ZAKOCHANE
bez pamięci

WERONIKA
WIERZCHOWSKA

ZAKOCHANE *bez pamięci*

7 PRAWDZIWYCH HISTORII NASZYCH PRABABEK

LIRA
WYDAWNICTWO

Lira Publishing Sp. z o.o.
Wydanie pierwsze
Warszawa 2025
ISBN: 978-83-68342-89-5

Prezentowane w tej książce historie miłosne mają z założenia stanowić przypadki reprezentatywne dla epoki i pokazywać powolne zmiany przebiegające w obyczajowości oraz ich wpływ na kojarzenie się i pożycie par. Zademonstrowanie tak złożonego i różnorodnego procesu na podstawie kilku przypadków jest oczywiście niemożliwe. Musimy zatem tę książkę potraktować nie jako pracę przekrojową, ale migawki z epoki, kilka obrazków rodzajowych, kilka scen. Z założenia różnorodnych, prezentujących żywych ludzi pochodzących z różnych środowisk i przesuniętych w czasie o kolejne pokolenia.

Jednak czym czasy odleglejsze, tym bardziej dostęp do wspomnień i pamiętników zawęża się do przedstawicieli najwyższych warstw społecznych. Tylko oni mieli czas i stosowne wykształcenie, by spisywać wspomnienia. Poza tym należy wziąć poprawkę na samą istotę memuarów. Te nazywane są czasem portretem własnym autora lub autorki. W przypadku, w którym autorka pisała je dla siebie, na bieżąco, można uznać, że są obiektywnym obrazem życia w danych czasach. Częściej jednak spisywano je po latach, czasem u schyłku życia, jako świadectwo mające stanowić wskazówki lub pamiątkę dla potomnych. Wówczas przedstawione w nich postaci i sceny są często idealizowane, upiększane,

zniekształcone niepamięcią lub nawet wymyślone na potrzeby stawianej tezy.

Ciekawszy obraz wyłania się z prywatnych listów, ale trudno odszukać takie zawierające intymne wyznania lub pikantne szczegóły. Tylko nieliczne przetrwały do naszych czasów. O ile panie miały zamiłowanie do przechowywania korespondencji z kochankami, narzeczonymi czy mężami – zgrabne pakieciki, zawiązane wstążką, leżały ukryte gdzieś głęboko w szufladzie biurka lub na dnie szafy – o tyle często po ich śmierci rodzina po prostu niszczyła korespondencję babci lub mamy. Z różnych powodów. Przez szacunek dla prywatności zmarłej, a czasem, by chronić jej historię i nie doprowadzić do skandalu lub by pewne fakty nigdy nie ujrzały światła dziennego. Niestety przez to nie możemy tak wnikliwie, jak byśmy chcieli, zajrzeć w życie uczuciowe i perypetie miłosne naszych prababek. Wiele sytuacji miłosnych pozostanie na zawsze niezgłębionymi tajemnicami alkowy.

Pozostaje zatem składanie opowieści miłosnych ze strzępek, z fragmentów, pojedynczych listów, raportów i dokumentów lub po prostu z plotek, które ocalały we wspomnieniach. Układać te historie trzeba niczym mozaikę lub puzzle, w których często brakuje części. Ale to już problem każdego historyka, który próbuje odtworzyć wydarzenia z dawnych czasów, szczególnie tak delikatne jak intymne uczucia i przeżycia miłosne. Nie zapominajmy bowiem, że dawniej ludzie byli bardziej wrażliwi na punkcie własnej prywatności i niechętnie

dzielili się ze światem sprawami tak intymnymi jak miłość. Starałam się zatem dotrzeć do historii, które nie były bardzo sensacyjne, ale za to prawdziwe.

Miłość niezależnie od epoki powinna wyglądać tak samo. Z punku widzenia medycyny to przede wszystkim proces biochemiczny wywoływany w ludzkim organizmie przez szereg czynników zewnętrznych i wewnętrznych. Nie jest zjawiskiem determinowanym ani modyfikowanym przez obyczajowość, kulturę czy religię. To proces mający podłoże ściśle biologiczne, zapisany w genach, zaprogramowany w komórkach ciała każdego ludzkiego osobnika. Proces konieczny, by gatunek mógł przetrwać i się rozprzestrzeniać; powiązany ściśle z samą naturą życia, którego istotą jest rozmnażanie się i ciągły rozwój. Tyle powiedziałyby na ten temat nauki przyrodnicze. Ale przecież nie możemy miłości utożsamiać wyłącznie z popędem seksualnym. Proces jej powstawania jest złożony i nie zawsze musi mieć podłoże czysto biologiczne, wywołany przez przymus rozmnażania się i zaludniania planety. Miłość przyjmuje najróżniejsze oblicza i ma wiele odmian. Może rozwijać się powoli, całymi latami lub eksplodować po jednym przypadkowym spojrzeniu. Może trwać kilka dni lub połączyć ludzi na całe życie. Jest nieprzewidywalna i tajemnicza, chimeryczna i niestała, niszczycielska lub przynosząca szczęście. I to się rzeczywiście nie zmienia, niezależnie od epoki — nad miłością nie sposób zapanować, okiełznać jej ani do końca jej zrozumieć.

I owszem, mimo tego, że mamy ją wpisaną w genach, jest powiązana z naszą kulturą i obyczajowością, może powstawać i rozwijać się zupełnie odmiennie, przyjmować różne oblicza w zależności od czasów, w jakich przyszło nam żyć. Nasze prababki kochały z jednej strony tak samo jak my, ale borykały się z zupełnie innymi problemami, żyły przecież w innym świecie. Zakochana kobieta w dawnych czasach miała o wiele więcej niż dziś przeszkód do pokonania, więcej murów do zburzenia, by sięgnąć po szczęście. Zacznijmy od tego, że w dawnej Polsce nie brano miłości pod uwagę przy kojarzeniu par. Młoda kobieta nie miała zresztą żadnej władzy nad swoim życiem, nie mogła decydować o jakimkolwiek jego aspekcie, chyba że chodziło o wybór wstążki do związania włosów. Do tego wprowadzony w czasach Księstwa Warszawskiego Kodeks Napoleona pozbawiał kobiety osobowości prawnej. Z dzisiejszego punktu widzenia znaczyło to tyle, że odbierano im właściwie status istoty ludzkiej i równano z koniem czy psem. Nie mogły głosować, pełnić funkcji publicznych ani dysponować majątkiem. Nie mogły zatem samodzielnie i niezależnie egzystować, były własnością swoich ojców i mężów.

Tych drugich nie mogły też, rzecz jasna, wybierać. I tyczyło się to kobiet wszystkich stanów, zarówno wieśniaczek, mieszczanek, szlachcianek, jak i córek arystokratów. Wszystkie przekazywano między rodzinami niczym przedmioty podlegające handlowi lub wymianie. Żonę można było sobie nabyć, o ile dysponowało się

odpowiednią pozycją i funduszami. Wśród chłopstwa najlepiej było, by pan młody miał za sobą służbę w wojsku i kawałek gospodarstwa z chałupą, polem i kilkoma sztukami bydła. Musiał potem udać się z opłatą do lokalnej swatki, która stanowiła konieczne ogniwo przy zawieraniu umowy z rodzicami wybranki. Tej zresztą, zdarzało się, że nawet wcześniej nie oglądał, wystarczała sama opinia. Wiadomo, że w cenie były dziewczęta zdrowe i pracowite. Taka też była Marcjanna Fornalska, żyjąca na przełomie XIX i XX wieku uboga wieśniaczka, która okazała się fenomenem pod tym względem, że jako jedna z nielicznych przedstawicielek swego stanu spisała pod koniec żywota pamiętniki, a właściwie wspomnienia. Dzięki nim wiemy od bezpośrednio zaangażowanej, jak kojarzenie par wówczas wyglądało.

*

Marcjannę oderwano od katorżniczej roboty przy roztrząsaniu widłami nawozu koniecznego do nawiezienia pola ziemniaków. Brudną, spoconą i śmierdzącą gnojem, a do tego ledwie przytomną ze zmęczenia, postawiono przed jakąś starą kobietą i nieznanym mężczyzną, nawet nie informując, że to swatka i potencjalnie przyszły teść.

— Myśwa przyszli w swaty. Twoi rodzice się zgodzili, a ty cóż powiesz? — spytała kobieta.

Marcjanna bez powodu wybuchła płaczem. Uspokojono ją i kazano podać kieliszek. Zgodnie bowiem

ze zwyczajem, jeśli panna zgadzała się na małżeństwo, wypijała z teściem wódkę. Marcjanna zrobiła to, nie wiedząc nawet, w co się pakuje. I to był koniec zalotów. Przyszłego małżonka ujrzała jakiś czas później, kiedy kazano jej iść z nim razem do proboszcza dać na zapowiedzi. Był to dziesięć lat od niej starszy mężczyzna, który przy pierwszym kontakcie wydał się jej śmieszny. Ślub odbył się szybko, bo nadchodziły żniwa i potrzebne były ręce do roboty. Marcjanna tak naprawdę kochała syna sąsiada, z którym od dziecka pasała bydło na ścierniskach, kochała go zresztą z wzajemnością. Nie zdawała sobie jednak z tego sprawy, nawet do głowy jej nie przyszło, że mogłaby się postawić rodzicom i starać o związek z ukochanym. Kiedy chłopak, dowiedziawszy się o tym, że zgodziła się wyjść za innego, przybiegł, by robić jej wyrzuty, nie mogła zrozumieć, o co mu chodzi i dlaczego nazwał ją głupią. Nie istniało w jej słowniku słowo opisujące to, co do niego czuła, nie mogła zrozumieć, czemu sama płacze i ciągle jest jej przykro.

Marcjanna z czasem polubiła swego męża, urodziła mu sześcioro dzieci, prowadzili życie, które można uznać za szczęśliwe. O dawnej, prawdziwej miłości nigdy jednak nie zapomniała; wspominała tego chłopaka pod koniec żywota, spisując wspomnienia.

*

Niewiele różniło się od tego kojarzenie par w warstwach lepiej uposażonych i uprzywilejowanych. Nie korzystano tak obcesowo ze swatek, ale kawaler musiał przejść coś w rodzaju sztywnej procedury, w której uczestnictwo wybranki było właściwie symboliczne. Zaloty przypominały zawieranie układu dyplomatyczno-handlowego i nie miały nic wspólnego z miłością. Kawaler musiał zdobyć zaufanie teściów i wkupić się w ich łaski, pokazać swoją pozycję i możliwości, by się upewnili, że oddają dziecko w dobre ręce.

Zresztą — cóż mogła zrobić panna? Wśród ziemiaństwa i mieszczaństwa dziewczęta właściwie nie tyle wychowywano, co tresowano na przyszłe panie domu i matki. Edukacja sprowadzała się zwykle do nauki prowadzenia gospodarstwa, podstaw rachunków, języków obcych i gry na pianinie. Miłość istniała tylko w powieściach francuskich, i tak trudno dostępnych. W dobrych domach panny czytały lektury starannie wyselekcjonowane przez matki lub ocenzurowane przez wyrywanie kartek zawierających zbyt frywolne treści. Miłości przy wyborze męża nie brano pod uwagę niemal nigdy. Zakochana panna i tak zwykle miała związane ręce. Nie dysponowała przecież żadnym majątkiem ani umiejętnościami, była własnością ojca i matki, do tego od dziecka wpajano jej bezwzględne posłuszeństwo wobec rodziców. Bunt był niemożliwy, uwarunkowania środowiskowe i obyczajowe po prostu wykluczały miłość, nie brały jej istnienia pod uwagę.

Zdarzały się jednak wypadki, kiedy zakochane dziewczyny próbowały wziąć sprawy w swoje ręce i powalczyć o swoje szczęście. Henrieta była przykładem szlachcianki, która spróbowała pokonać skostniały obyczajowy system i, grając zgodnie z zasadami konserwatywnego świata, używając sprytu oraz inteligencji, zawalczyć o miłość.

HENRIETA DZIAŁYŃSKA (1794 – 1869)

PRIMO VOTO BŁĘDOWSKA, SECUNDO VOTO ROTTERMUND

hrabianka, dziedziczka arystokratycznego rodu z Wołynia, pamiętnikarka

1

— Henrytka!

Muniek wsunął głowę przez uchylone drzwi do pokoju o ścianach obitych materią sycową. Wiedział, że obie siostry lubią w nim przesiadywać, bo jest ciepły i przytulny.

— Henrytka, zostaw te papierowe wycinanki i chodź szybko. Kawaler Józi zajechał!

Henia spojrzała na niego gniewnie. To nie żadne wycinanki, tylko szlachetna sztuka sylwetkowa, zwana z francuska *silhouette*. Polegała na precyzyjnym wycinaniu z czarnego papieru portretów lub kształtów, które potem umieszczano w ramkach i wieszano na ścianach. Co prawda wśród arystokracji uchodziła za tańszy, przez to bardziej plebejski odpowiednik prawdziwych

malowanych portretów, ale i tak stanowiła popularną rozrywkę dla pań, które akurat nie miały innego, pożyteczniejszego zatrudnienia i chciały popróbować tworzenia sztuki. Coś w sam raz dla dziewczęcia, które powinno kształcić się manualnie i doskonalić w sztuce cierpliwości.

— Wreszcie! Józia czeka na niego od świtu. — Zamiast się naburmuszać na brata, który nie okazał szacunku jej papierowym sylwetkom kotków i piesków, wstała z godnością i szybko pomaszerowała do drzwi.

Zbiegli po schodach na wyścigi, zapomniała bowiem natychmiast, że powinna zachowywać się jak dama. Wskoczyła nawet na poręcz i zjechała na sam dół, korzystając z okazji, że nigdzie w pobliżu nie widziała mamy. Nie była już co prawda mającą wyłącznie pstro w głowie smarkulą, miała dwanaście lat, a tak poważny wiek zobowiązywał do zachowania powagi. Tyle że Zenon ją sprowokował, udając koguta. Nie mogła się oprzeć wygłupom brata i od razu się do nich przyłączyła. Mimo że był o trzy lata starszy i powinien dawać jej przykład jako młody gentleman, zachowywał się zupełnie, jakby znów byli dziećmi i szaleli po pałacu swojej babki w Konarzewie pod Poznaniem.

Kiedy do niej pierwszy raz przyjechali, babusia, wówczas już mocno stareńka Anna Działyńska-Gurowska, pozwalała im pod nieobecność mamy na bardzo wiele. Każdemu z trójki wnucząt, Heni, Józi i Muńkowi, wręczyła nawet po sto dukatów w ramach babcinego prezentu. Henrytka uznała wówczas, że ta fortuna wystarczy jej

do końca życia. Nigdy wcześniej nie widziała tylu złotych monet naraz. Zdeponowała potem kwotę u mamy, bo przecież nie mogła sama dysponować podobnym majątkiem.

Babcia Gurowska rozpieszczała wnuczki, jak tylko mogła, zresztą na ich widok od razu miękła jak wosk. A wszystko przez to, że były półsierotami, co niezwykle ją rozczulało. Ojciec Henrytki, hrabia Józef Działyński, generał i poseł, potem bohater insurekcji kościuszkowskiej, został zamordowany przez Rosjan. Najprawdopodobniej otruto go podczas kolacji z carskim gubernatorem — za karę, bo brał udział w konspiracji popowstaniowej. Tak przynajmniej się mówiło, dowodów żadnych oczywiście na to nie ma; oficjalnie zmarł po kolacji na niespodziewany atak apopleksji. Henia nie pamiętała swojego słynnego papy, zginął za ojczyznę, kiedy miała raptem trzy latka. Zdawało się jej tylko, że z tamtych wydarzeń pamięta rozpaczającą matkę, ubraną w czarną, żałobną suknię, ale nie była pewna, czy tego sobie nie wymyśliła.

Teraz trwało lato roku 1806 i jej najukochańsza siostra Józia wychodziła za mąż. Ach, ależ czekała ją wielka przygoda! Józia była już w odpowiednim do zamążpójścia wieku, miała dwadzieścia lat i od dwóch mama wybierała jej kawalera. Musiała zrobić to starannie i z rozwagą. Wreszcie najbardziej godny ręki hrabianki Działyńskiej okazał się Józef Bieliński, szlachcic z niezwykle starożytnego, rycerskiego rodu, mającego wśród przodków marszałków wielkich i hetmanów, do tego

mający za matkę księżnę Sanguszko, co czyniło go koligatem największych rodów magnackich Rzeczypospolitej. Osoba według mamy odpowiednia, by starać się o rękę Józi.

Henrytka wypadła z bratem na korytarz i od razu oboje zatrzymali się jak zamrożeni. Sztubacki humor opuścił ich w jednej chwili, wróciła powaga i dostojność przynależna komuś z ich pozycją i pochodzeniem. Oto bowiem stała tam ona, jak zwykle wyprężona jak struna, sroga, o wzroku ostrym i przeszywającym na wylot. Ich kochana matka, hrabina Szczęsna Woronowiczówna Działyńska.

Któż się jej nie bał! Wszyscy, którzy mieli z nią do czynienia, stawali przed jej obliczem na baczność. Miała jaśniepaństwo we krwi, okazywała je w każdym geście i spojrzeniu, władczość i stanowczość biły z jej ruchów, postawy i każdego słowa. Do tego była silną kobietą, która po śmierci męża nie wyszła ponownie za mąż, tylko sama gospodarowała majątkiem i wychowywała dzieci. Postawa niezwykle rzadko wówczas spotykana; nie zdarzało się często, by kobieta decydowała się prowadzić samodzielne życie bez mężczyzny, który by się nią opiekował i przejął większość obowiązków. Do tego czasy nastały ciężkie i samo utrzymanie się przy życiu nie było oczywiste, co dopiero mówić o prowadzeniu gospodarstwa. Od śmierci męża Szczęsnej świat straszliwie się zepsuł. Polska przestała istnieć, przez kraj ogarnięty nędzą i głodem przemaszerowały wielkie armie, łupiąc i mordując, w dodatku zanosiło się na to, że to wcale nie

koniec zawieruch, trwały przecież wojny napoleońskie. Hrabina Działyńska nie zamierzała jednak szukać opieki w ramionach jakiegoś mężczyzny, była na to zbyt dumna i zbyt silna.

Henrytka jako pierwsza klęknęła przed matką i pocałowała ją w dłoń, Zygmunt natychmiast poszedł jej śladem. Hrabina obojgu poprawiła jakąś część garderoby, jakby była oficerem wizytującym swój osobisty oddział gwardii. Chwilę później lokaj wprowadził szanownych gości, czyli narzeczonego Józi, całkiem przystojnego pana we fraku i koszuli o sztywnym kołnierzyku wbijającym mu się w szyję, ozdobionym jedwabnym fularem. Włosy miał ów kawaler modnie ścięte na krótko i zaczesane do przodu, z obowiązkowymi baczkami, tyle że noszącymi już ślady szpakowatości. Prawdziwy dandys, pachnący pudrem i wodą kolońską, tyle że już nie młodzieniaszek. Towarzyszyli mu ojciec, wiekowy i siwiuteńki pan Franciszek Bieliński, oraz ksiądz Kurys, gruby, czerwony i spocony na twarzy. Witali się wręcz wylewnie, choć hrabina pozostawała jak zwykle zdystansowana i sztywna, podsuwała im tylko rękę do pocałowania. Uśmiechnęła się kącikiem ust, ledwie co, ale jej oczy pozostały niczym dwa kryształy lodu. Henrytkę to nie zaskoczyło, raz tylko widziała mamę wiszącą na szyi mężczyzny, rozszczebiotaną i szczęśliwą, śmiejącą się głośno. To było, kiedy będąc na wywczasach w spa, spotkały samego Tadeusza Kościuszkę, jak się okazało — dobrego znajomego hrabiny, który przyjechał z niedalekiej wsi specjalnie, by się z nią zobaczyć.

Wówczas to i mała Henia została wycałowana przez bohatera narodowego, u którego boku ponoć walczył jej nieżyjący papa.

Została też wycałowana przez obecnego tu księdza Kurysa, ale już innym razem, podczas wizyty u babci, kiedy ta grała z owym księdzem w wista. Mała Henia stanęła przy stoliku, by popatrzeć, a wówczas gruby klecha objął ją i siarczyście ucałował. Nigdy wcześniej ani później nie przeżyła tak ordynarnej napaści na swoją cześć. Wstyd był tak wielki, że uciekła do pokoju i schowała się pod łóżkiem, gdzie znalazła ją służba po długich poszukiwaniach. Teraz, kiedy goście witali się z mamą, aż cofnęła się o krok na widok duchownego, przerażona i przekonana, że jego tłuste łapska znów ją obejmą i przyciągną do brzuszyska, a śliskie usta przywrą do jej ust. Zbladła na samą myśl o tym koszmarze, ale niczym odsiecz husarii w ostatniej chwili przed katastrofą — na szczycie schodów pojawiła się Józia. Przyszła panna młoda skupiła na sobie całą uwagę. Henia w jednej chwili uśmiechnęła się uradowana i klasnęła w dłonie z radości.

Uwielbiała starszą siostrę. Józia była najbliższą jej osobą, właściwie to wypełniała ciepłem i miłością lukę, jaka zostawała po chłodzie okazywanym przez wiecznie zagniewaną matkę. Arystokratyczne wychowywanie tradycyjnie polegało na tym, że rodzicielka wydawała dziecię na świat i przekazywała je najpierw w ręce mamki, potem kolejno w ręce niani, bony i guwernantek. Okazywanie czułości dziecku i fizyczne zajmowanie

się nim, co było rzeczą normalną u niższych warstw, wśród arystokracji uchodziło za coś wręcz niestosownego. Matki jak najszybciej po porodzie wracały do dawnych zajęć, dzieci chowały się same, zdarzało się, że widywały rodziców jedynie podczas uroczystości, bo w wielkich pałacach nie miały okazji nawet przypadkiem ich spotkać. Henia nie była chowana aż tak zimno, mama spędzała z nią mnóstwo czasu, ostatnio nawet właściwie się nie rozstawały, ku rozpaczy Henrytki, która ciągle czuła na sobie baczne spojrzenie zimnych oczu Szczęsnej, ale i tak wyczekiwanych przytuleń mogła się spodziewać jedynie po siostrze. Bo to ona faktycznie jej matkowała, bawiła się z nią, uczyła ją mówić i chodzić, zabierała na spacery, tuliła i okrywała kołderką w łóżku. To Józia była powierniczką wszystkich jej tajemnic, najlepszą przyjaciółką i właściwie całym światem. Henia kochała ją jak nikogo innego. Od zawsze próbowała siostrę naśladować i marzyła, by stać się taka jak ona.

Józia spłynęła po schodach, ubrana w suknię greczynkę, z wysokim stanem, na wzór modnych obecnie krojów inspirowanych sukniami antycznymi. Ze skromnie spuszczonymi oczami podeszła do rozanielonego jej widokiem narzeczonego i dygnęła przed nim wdzięcznie. Ten skłonił się dwornie i głęboko, niemal zamiatając grzywą parkiet. Jego ojciec po prostu ucałował ją po ojcowsku w oba policzki i w czoło. Teraz miała się odbyć wspólna przejażdżka powozami, potem obiad w ogrodzie na tyłach pałacu. Młodzi mogli wsiąść do kocza

i siedzieć razem, obok siebie, ale oczywiście nie sami. Naprzeciw usiadła Szczęsna w towarzystwie pana Franciszka. Jeszcze się nie zdarzyło, by ta para została choć na chwilę sam na sam i mogła swobodnie porozmawiać. Cała ich znajomość kwitła pod czujnym okiem mamy, która łowiła każde wypowiedziane przez córkę słowo. Potem surowo je oceniała i komentowała. Henrytka obserwowała siostrę i jej narzeczonego z drugiego powozu, w którym jechała z bratem i panną Szeliską, rezydentką pełniącą we dworze także rolę bony dla dzieci. Uczyła je na szczęście tylko manier i robótek ręcznych, głównie dlatego, że nic innego nie umiała. Szczęsna trzymała ją bardziej z litości niż z potrzeby, stara panna nie miała się bowiem gdzie podziać.

— Jak panna Adolfina myśli, czy Józef kocha naszą Józefę? — zapytała ją Henia podczas przejażdżki.

Panna spojrzała na dziewczynkę wyraźnie zmieszana. Jej osobiste doświadczenia w tej sferze życia były raczej skąpe, ale oczywiście miała własną opinię na każdy temat.

— Cóż znaczy kocha? — obruszyła się, jakby dotknięta pytaniem. — Szanuje ją, traktuje, jak należy, od razu widać, że ma dla Józi poważanie i najszlachetniejsze wobec niej zamiary. Miłowanie przyjdzie z czasem, nie pojawia się przecież ot tak, od samego myślenia o nim. Trzeba do niego dojrzeć.

— Trzeba, aby poleżeli obok siebie jak dwa jabłka wyłożone na parapet — dodał Muniek. — Rychło zrobią się czerwoni. To znak, że ich miłość dojrzewa.